Randall Garrett

Ale, nie wydaje mi się

(But, I Don't Think)

Astounding Science Fiction, July 1959
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

— Ale, panowie — powiedział lekarz — naprawdę nie wydaje mi się, abyśmy mogli uznać za humanistyczną jakąkolwiek religię, której integralną częścią są ofiary z ludzi.

— A przynajmniej — dodał z chichotem malarz — nie z punktu widzenia ofiar.

Filozof wyglądał na zirytowanego.

— Pfff! A co, jeśli ofiarom to się podoba?"

— BIERNI WYZNAWCY
R. Phillip Dachboden

I

Dziesięć tysięcy ton masy wielkiego statku handlowego *Naipor* osiadło na stanowisku do lądowania, na Viornis, równie delikatnie, jak jajo wkładane jest do pojemnika na jajka, i prawie tak samo cicho. Potem, po wyłączeniu antygravów rozległo się tylko głuche metaliczne jęknięcie, kiedy gigantyczna konstrukcja samego stanowiska przejęła ciężar utrzymania statku w płynie hydraulicznym.

W tym momencie *Naipor* znalazł się oficjalnie na powierzchni, i statek przeszedł w ręce oficerów naziemnych. Kapitan żeglugi kosmicznej Humbolt Reed westchnął, odchylił się w krześle, wyciągnął rękę i od niechcenia dotknął trzech aktywizowanych punktów na powierzchni swego biurka.

— Niech porucznik Blyke natychmiast przyprowadzi do mojego biura Odgadywacza — powiedział głosem ewidentnie przyzwyczajonym do wydawania rozkazów, które należało wykonywać.

Potem zdjął palce z aktywnych punktów, nie czekając na odpowiedź.

W innej części statku, w swojej kwaterze niedaleko Sekcji Kontroli Ognia, siedział człowiek znany jako Odgadywacz. Miał oczywiście swoje własne nazwisko, normalne nazwisko, jak wszyscy; było ono zapisane w dokumentach statku i w Rejestrze Głównym. Ale niemal nigdy go nie używał; bardzo rzadko nawet o nim myślał. Przez dwadzieścia z trzydziestu pięciu lat swego życia był wyszkolonym odgadywaczem, a przez ostatnie piętnaście z nich był Odgadywaczem *Naipora*.

Jak na odgadywacza, wyglądał dosyć imponująco; był wysoki, miał szerokie ramiona i kwadratową dyrektorską twarz, i jego ojciec martwił się nawet, że nie będzie wykazywał zdolności odgadywacza, podczas gdy jego matka w tajemnicy miała nadzieję, że rzeczywiście zostanie dyrektorem. Na szczęście dla naszego odgadywacza, oboje się mylili.

Był nie tylko odgadywaczem, ale także pierwszorzędnym przewidywaczem i wykazywał duże zniecierpliwienie wobec tych ze swoich podwładnych, którym nie udało się zastosować swych umiejętności w jakiś konkretny sposób. W chwili lądowania statku, zajmował się właśnie

werbalnym targaniem za uszy Kraybo, młodego człowieka, który prawdopodobnie pewnego dnia przejmie funkcję Odgadywacza – jeśli kiedyś w końcu nauczy się, jak należy to robić.

— Albo kłamiesz, albo jesteś idiotą — oznajmił surowo Odgadywacz — i chciałbym, na wieczność, wiedzieć która z tych dwóch możliwości jest prawdziwa!

Wyprężony na baczność Kraybo tylko przełknął ślinę i milczał jak grób. Zbyt często czuł na sobie grzbiet dłoni Odgadywacza, aby ponownie celowo narazić się na kolejny cios.

Odgadywacz zmrużył oczy i próbował zobaczyć, co się dzieje w umyśle Kraybo.

— Popatrz tutaj, Kraybo — powiedział po chwili, — ten statek Nieprzystosowanych znalazł się na tyle blisko, że mógł wyrządzić nam szkody. Naraziło to *Naipora* i życie jego załogi. To ty byłeś na pokładzie w tym kwadrancie statku, i to ty pozwoliłeś mu podejść zbyt blisko. Zapisy pokazują, że źle wycelowałeś jeden ze swoich wystrzałów. Teraz chcę wiedzieć: czy naprawdę odgadywałeś, czy za bardzo słuchałeś komputera?

— Słuchałem komputera — powiedział Kraybo lekko łamiącym się głosem. — Przepraszam za błąd, Mistrzu Odgadywaczu, to się już więcej nie powtórzy.

Głos Odgadywacza zmienił się niemal w warkot.

— To wcale nie jest lepsza z odpowiedzi! Wiesz przecież, że komputer ma dostarczać ci tylko dane i szacować prawdopodobieństwo kursów atakujących statków; nie powinieneś zakładać, że on potrafi cokolwiek przewidzieć!

— Wiem, proszę pana; ja tylko…

— Właśnie udało ci się prawie nas wszystkich zabić! — warknął Odgadywacz. — I twierdzisz, że tak naprawdę odgadłeś, gdzie będzie ten statek, ale zamiast tego poszedłeś za ekstrapolacją komputera?

— Tak jest, panie odgadywaczu — odparł z pełną napięcia twarzą Kraybo. — Przyznaję się do błędu i jestem gotów ponieść zasłużoną karę.

Odgadywacz wykrzywił się w wilczym uśmiechu.

— O, jakże to wielkodusznie z twojej strony. Bardzo się cieszę, że jesteś gotów, bo po prostu nie wiem, co bym zrobił, gdybyś odmówił.

Twarz Kraybo zapłonęła szkarłatem, ale nic nie powiedział.

Głos Odgadywacza stał się sarkastycznie delikatny.

— Ale wydaje mi się, że jedyną rzeczą, jaką mogę zrobić w tym przypadku, to — głos Odgadywacza nagle zmienił się w ryk — skopać ci ten tłusty tyłek!

Twarz Kraybo nagle straciła barwy.

Odgadywacz stał się nagle rzeczowo-szorstki.

— Nieważne. Zostawiamy to na teraz. Masz zameldować się u Mistrza Dyscypliny. Intensywność Pięć, dziesięć minut całkowitego czasu aplikacji. Odmaszerować.

Kraybo, którego twarz stała się jeszcze bielsza, zatrzymał się na chwilę, jakby zamierzał błagać Odgadywacza o litość. Ale zobaczył wyraz oczu przełożonego i pomyślał że lepiej tego nie robić.

— Tak jest — odparł słabym głosem. Zasalutował i wyszedł.

A Odgadywacz po prostu siedział, czekając na to, co wiedział że musi nadejść.

Tak się też w końcu stało. Porucznik Blyke pojawił się w dwie minuty po odejściu Kraybo. Stanął w drzwiach kabiny Odgadywacza, w towarzystwie sierżanta.

— Mistrzu Odgadywaczu, pójdzie pan z nami. — Jego zachowanie było znudzone i nieco obojętne.

Odgadywacz skłonił głowę, zasalutował.

— Jak pan rozkaże, wielki panie. — I ruszył korytarzem za porucznikiem, mając za plecami podążającego za nimi sierżanta.

Odgadywacz nie myślał o zbliżającej się rozmowie z kapitanem; myślał o Kraybo.

Kraybo miał dwadzieścia jeden lat i szkolił się na odgadywacza, odkąd stał się wystarczająco duży, by mówić i rozumieć. Od czasu do czasu okazywał przebłysk olbrzymich umiejętności, ale przez większość czasu wydawał się… no cóż, leniwy. A potem zawsze pojawiało się pytanie o jego faktyczne zdolności.

Walka w dziwnie zniekształconej przestrzeni ultraświetlnych szybkości, wymaga więcej niż są w stanie dać maszyny, i więcej niż zwykłych ludzkich umiejętności. Żaden komputer, jakkolwiek byłby zbudowany, nie jest w stanie oszacować toru lotu wykonującego uniki statku kosmicznego ze zręcznym człowiekiem siedzącym za jego sterami. Nawet superszybkie wystrzały energetyczne z megadynowego działa siłowego, wymagają pewnego skończonego czasu, aby dotrzeć do celu, i dlatego konieczne jest celowanie w miejsce, w którym atakujący statek znajdzie się po tym czasie, a nie w miejsce, w którym znajduje się w momencie wystrzału. To była wiedza tak stara jak wojny między ludźmi: ruchomy cel wymaga odpowiedniego wyprzedzenia.

W przypadku celu poruszającego się ze stałą prędkością lub stałym przyspieszeniem lub po jakiejkolwiek matematycznie przewidywalnej trajektorii, użycie komputera jest warunkiem nie tylko koniecznym, ale również dostatecznym. W takich przypadkach dokładność była idealna, trafienia pewne w stu procentach.

Ale uniki wykonywane przez pilota-człowieka, wspomagane przez losowe selektory, nie są logiczne i dlatego nie mogą być przewidziane przez komputer. Podobnie jak tor mikroskopijnej cząstki w ruchach Browna, położenie statku można było przewidywać tylko statystycznie; najlepsze, co można uzyskać, to oszacowanie najbardziej prawdopodobnej jego lokalizacji. W walce w kosmosie prawdopodobieństwo tego rzędu, po prostu nie było wystarczająco dobre.

Obliczenie takiej trajektorii wymagało ludzkiego umysłu specjalnego rodzaju, a co za tym idzie specjalnego rodzaju człowieka. Wymagało ono odgadywacza.

Sposób, w jaki działał umysł odgadywacza, mógł wyjaśnić tylko odgadywaczowi, wyłącznie inny odgadywacz. Jednakże, dla wszystkich

innych, ważne były tylko obiektywne wyniki. Odgadywacz potrafił „odgadnąć” tor poruszającego się statku i właśnie na tym wszystkim zależało. A mistrzowie odgadywacze szczycili się umiejętnością dokładnego ich odgadywania w 99,999% wypadków. Starożytna gra w baseball była dla odgadywacza jedynie testem koordynacji mięśni; gdy tylko dziecko odgadywacza nauczyło się kontrolować pałkę, jego średnia pałkarza strzelała do poziomu 1.000 i pozostała na nim, dopóki się nie zestarzał. Mistrz odgadywacz mógłby uzyskać ten wynik z zasłoniętymi oczyma.

Trafienie statku w kosmosie przy prędkościach ultraświetlnych było jednak czymś znacznie trudniejszym. Młody Kraybo mógłby grać w baseball z zasłoniętymi oczami, ale nie potrafił odgadywać działań przeciwnika na poziomie mistrza, co było niezbędne do ochrony statku handlowego, takiego jak *Naipor*.

Ale na czym polegał jego problem? Miał oczywiście komputer sterujący ogniem, który pomagał mu ustawiać działa i celować z nich, ale wydawało się, że nie jest w stanie zawierzyć całkowicie swemu zmysłowi odgadywania. Niejednokrotnie już strzelał w miejsce, w którym komputer twierdził, że powinien znajdować się statek, zamiast strzelać tam gdzie faktycznie był on ułamek sekundy później.

Były tylko dwie przyczyny powstania tego rodzaju problemów. Albo robił dokładnie to, co mówił – ignorował odgadywanie i podążał za wskazówkami komputera - albo z natury nie był w stanie kontrolować odgadywania i miał nadzieję, że komputer wykona pracę za niego.

Jeśli prawdziwa była pierwsza z nich, to Kraybo był głupcem; jeśli druga, był kłamcą i nie był w stanie lepiej kierować ogniem *Naipora* niż na przykład kapitan.

Odgadywacz z niechęcią karał Kraybo, ale to był jedyny sposób, aby zmusić młodzieńca do skupienia się na właściwych sprawach.

W końcu, pomyślał Odgadywacz, ja się tego tak nauczyłem; Kraybo może uczyć się w ten sam sposób. Odrobina przypalania nerwów nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Ale ta ostatnia myśl służyła raczej pokrzepieniu siebie samego niż usprawiedliwieniu jego działań wobec Kraybo. Porucznik stał przy drzwiach biura kapitana, a tuż za nim Odgadywacz.

Drzwi otworzyły się, by przepuścić całą trójkę – porucznika, Odgadywacza oraz sierżanta - i przemaszerowali przez całe pomieszczenie do biurka kapitana.

Kapitan nawet nie zadał sobie trudu, by unieść głowę, dopóki porucznik Blyke nie zasalutował i nie zameldował:

— Odgadywacz, panie kapitanie!

Kapitan odpowiedział porucznikowi szybkim kiwnięciem głową, a potem chłodno popatrzył na Odgadywacza.

— Statek został poważnie uszkodzony. Ponieważ na Viornis nie ma doków naprawczych, będziemy musieli rozładować nasze cargo, a

następnie pokonać – na pusto – całą drogę aż do Planety D'Graskiego, aby dokonać napraw. W tym czasie będziemy bardziej niż kiedykolwiek narażeni na ataki Nieprzystosowanych.

Jego lodowaty głos zamilkł i przez dziesięć długich sekund po prostu spoglądał na Odgadywacza swymi lodowatymi, nie mrugającymi oczyma.

Odgadywacza milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Nic, co by mu pomogło.

Odgadywacz nie lubił Wielkiego Kapitana Reeda – i co więcej, obawiał się go. Reed był kapitanem *Naipora* od zaledwie trzech lat, zastępując starego kapitana, który odszedł na emeryturę. Rygorystycznie trzymał się przepisów i miał skłonność do surowego karania za najdrobniejsze nawet ich naruszenia. Oczywiście nie chodzi o to, żeby nie miał do tego pełnego prawa; w końcu był kapitanem.

Ale stary kapitan nie skazał Odgadywacza na przypalanie nerwów przez te wszystkie lata, odkąd zaakceptował go jako odgadywacza. A kapitan Reed…

Zimny głos kapitana przerwał jego myśli.

— I cóż? Co to było? Jeśli było to jakiś mechanoelektroniczny błąd w działaniu komputera, proszę to powiedzieć; porozmawiamy z inżynierem.

Odgadywacz wiedział, że kapitan daje mu coś, co wyglądało na wyjście z sytuacji – ale Odgadywacz wiedział również, że jest to test, pułapka.

Odgadywacz skłonił nisko głowę i zasalutował.

— Nie, wielki panie; wina leży po mojej stronie.

Kapitan Reed pokiwał głową z zadowoleniem.

— Bardzo dobrze. Intensywność Pięć, dwie minuty. Odmaszerować.

Odgadywacz schylił głowę i zasalutował, a potem odwrócił się i wyszedł za drzwi. Sierżant nie musiał mu towarzyszyć; został potraktowany bardzo łagodnie.

Pomaszerował w kierunku sali dyscyplinarnej z głową pod odpowiednim kątem – gotów unieść ją, jeśli spotka pomniejszego członka załogi, gotów ją opuścić, jeśli spotka się z jednym z oficerów dowodzących.

Czuł już z wyprzedzeniem krążący po ciele okropny ból przypiekacza nerwów – wstrząs co dziesięć sekund przez dwie minuty, jak bicz chłoszczący jednocześnie całe ciało. Jego jedyną satysfakcją była świadomość, że skazał Kraybo na dziesięć minut tego samego.

Odgadywacz leżał na swym łóżku, z twarzą w dół, a jego zaciśnięte palce kurczowo ściskały pościel, zaś nerwy drżały na wspomnienie bólu. Trzynaście wstrząsów. Trzynaście palących wstrząsów, rozdzierającej tortury. To już koniec, ale jego synapsy wciąż skwierczały wspomnieniami tych palących uderzeń energii.

Miał trzydzieści pięć lat. Musiał o tym pamiętać. Miał teraz trzydzieści pięć lat, i nerwy powinien mieć pod lepszą kontrolą niż w wieku dwudziestu lat. Zastanawiał się, czy z oczu płyną mu łzy, a potem

stwierdził, że to nie ma większego znaczenia. Przynajmniej nie krzyczał na głos.

Oczywiście krzyczał w przypiekaczu nerwów; krzyczał dokładnie trzynaście razy. Każdy człowiek, który by nie krzyczał gdy nadchodziły te oślepiające szpile bólu, musiałby być albo nieprzytomny albo martwy – krzyczeć w przypiekaczu nie było wstydem. Ale teraz już nie krzyczał.

Leżał tak jeszcze przez dziesięć minut, z zaciśniętymi zębami, aż ustąpiły drgawki, a jego układ nerwowy odzyskał normalną koordynację.

Przypiekacz nie wyrządzał żadnej fizycznej szkody; byłoby nieekonomiczne dla dowódcy pozwolić, by jego ludzie zostali ranni lub uszkodzeni w jakikolwiek fizyczny sposób. Wystarczyło przyłożyć do zakończeń nerwowych bardzo niewielkie ilości energii, aby wywołać złożone reakcje elektrochemiczne, powodujące, że wysłały one do mózgu i rdzenia kręgowego komunikaty o bólu. Fizyczne szkody dla nerwów były mniejsze niż te będące wynikiem dobrej całonocnej popijawy u normalnego człowieka. Ale oddziaływanie na umysł, to coś zupełnie innego.

Była to bardzo skuteczna metoda zmuszenia człowieka do odebrania niemal każdej nauczki, jakiej chciało mu się udzielić.

Po chwili Odgadywacz wzdrygnął się raz jeszcze, wziął głęboki oddech, wstrzymał go na piętnaście sekund, a następnie wypuścił powietrze. Nieco później podniósł się i przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Siedział na jego skraju przez kilka minut, potem wstał i ubrał się w swój najlepszy mundur.

W końcu kapitan nic nie wspomniał o ograniczeniu wolności do pokładu statku, a on nigdy wcześniej nie był w Viornis. Poza tym parę drinków powinno poprawić jego stan.

W galaktyce były lepsze planety, zdecydował dwie godziny później. Całe tysiące.

Po pierwsze, była to mała planeta, ale o dużej gęstości, i grawitacji na powierzchni równej jeden przecinek dwa standardowych gie – nie na tyle wysokiej aby uniemożliwiać poruszanie, ale wystarczającej, aby człowiek czuł się ociężale. Po drugie, jej głównym produktem eksportowym były artykuły rolne: na Viornis było bardzo niewiele większych miasteczek i żadnego centrum ludności, które można by nazwać naprawdę miastem. Nawet tutaj, w porcie kosmicznym, najbardziej ruchliwym i największym mieście na planecie, liczba ludności nie przekraczała miliona. Była to „nowa” planeta o historii, sięgającej nie więcej niż dwa wieki wstecz. Przy bardzo ostrożnej kontroli ludności sprawowanej przez rządzących Dyrektorów, prawdopodobnie pozostanie małym i prowincjonalnym światem, przez kolejne pół tysiąclecia.

Odgadywacz szedł jedną z ulic Bellinbergu prawdopodobnie nazwanego tak na cześć pierwszego Głównego Dyrektora planety - szukając jakiegoś porządnego miejsca dla przybysza z kosmosu, do wychylenia drinka. Był wieczór, a skrywające się za zachodnim horyzontem żółte główne słońce układu, pozostawiło za sobą czyste, mocno rozgwieżdżone niebo, które

wypełniało powietrze miękkim, białym blaskiem. Ulice samego miasteczka były dobrze oświetlone przez jasne płyty oświetleniowe, osadzone w ścianach budynków, ale powyżej poziomu ulicy same budynki skrywały się w ciemnościach. Od czasu do czasu jakiś dyrektorski samochód powietrzny przemykał szybko w nad głową z miękkim podmuchem powietrza, a w oddali widział migoczące wieżowce dzielnicy dyrektorskiej wznoszące się wysoko ponad ośmio- lub dziesięciopiętrowe budynki, które stanowiły większą część Bellinbergu.

Ulice były dosyć mocno zatłoczone spacerowiczami – większość z nich byli to obywatele czwartej lub piątej klasy, którzy z szacunkiem odsuwali się na bok, gdy tylko zobaczyli jego mundur, i odwracali od niego wzrok. Od czasu do czasu szybko mijał go samochód energetyczny kogoś z klasy trzeciej, a Odgadywacz czuł lekkie ukłucie zazdrości. Technicznie rzecz biorąc, jego ranga była odpowiednikiem klasy trzeciej, ale nigdy nie posiadał pojazdu naziemnego. Jaki pożytek miałby w kosmosie z pojazdu naziemnego? Mimo to fajnie byłoby choć raz poprowadzić takie cacko, pomyślał; z pewnością byłoby to nowe doświadczenie.

W tej chwili jednak szukał baru trzeciej klasy; jakiegoś miejsca aby spokojnie napić się i coś zjeść. Miał oczywiście pełne prawo aby wejść do baru niższej klasy, ale nigdy nie czuł się swobodnie bratając się w taki sposób ze swymi podwładnymi, a i oni z pewnością byliby niespokojni w jego obecności, z powodu broni bocznej na biodrze.

Nikomu poniżej klasy trzeciej nie wolno było nosić broni energetycznej, a tylko Jedynki i Dwójki mogły nosić pola ochronne, które chroniły ich przed skutkami paraliżu nerwowego będącego efektem działania tej broni. A oni, będąc dyrektorami, nie byli dla siebie zagrożeniem.

W końcu po dłuższym spacerze zdecydował, że znajduje się w niewłaściwej części miasta. Przy tych ulicach nigdzie nie było widać barów klasy trzeciej. Może, pomyślał, powinien był udać się do Klubu Kosmicznego w samym porcie kosmicznym. Z drugiej strony nie miał specjalnej ochoty spotkać się z innymi młodszymi oficerami ze swojej klasy, po tej niemal wpadce, która spowodowała uszkodzenie *Naipora*. Funkcja Odgadywacza wyróżniała go, nawet spośród innych Trójek.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapytać policjanta, ale odrzucił ten pomysł. Gliniarze zawsze byli odrębną kastą. Poza tym nie byli na ulicach po to by dawać wskazówki, ale aby zachować porządek.

W końcu wszedł do pobliskiego baru klasy czwartej i pstryknął palcami na barmana, ignorując nagłą ciszę, która zapanowała po jego wejściu.

Barman szybko odstawił trzymaną w ręku szklankę i pośpiesznie podbiegł do niego, uprzejmie się kłaniając.

— Tak, proszę pana; tak, proszę pana. Co mogę dla pana zrobić? To zaszczyt mieć pana tutaj, szanowny panie. Czym mogę panu służyć?

Mężczyzna sam, nosił charakterystyczne ubranie Piątki, więc klienci przewyższyli go statusem, ale opaska na ramieniu wskazała, że jego pan był Dwójką, co dało mu wystarczającą władzę, aby utrzymać w tym miejscu rozsądny porządek.

— Gdzie jest najbliższy bar klasy trzeciej? — warknął Odgadywacz.

Barman wyglądał na lekko rozczarowanego, ale nie wyszedł ze swojej pozy posłuszeństwa.

— Och, to całkiem spory kawałek drogi stąd, proszę pana – najbliższy będzie Bar Mallarda, na skrzyżowaniu Fourteenth Street i Upper Drive. Przynajmniej mila drogi.

Odgadywacz skrzywił się. No tak, był w niewłaściwej części miasta.

— Ale będę zaszczycony, mogąc panu służyć, szanowny panie — pospiesznie kontynuował barman. — Osobista loża, najlepsza ze wszystkich, idealna prywatność…

Odgadywacz szybko pokręcił przecząco głową.

— Nie. Po prostu powiedz mi, jak dostać się do Baru Mallarda.

Barman patrzył na niego przez chwilę, pocierając opuszkiem palca wskazującego brodę, a potem powiedział:

— Przypuszczam, że nie ma pan pojazdu, szanowny panie? Nie? No cóż, w takim razie może pan albo pojechać koleją tubową, albo pójść na pieszo, szanowny panie. — Pozwolił, aby ostatnie zdanie zawisło w powietrzu, czekając na decyzję Odgadywacza.

Odgadywacz szybko analizował możliwości. Tuby były dla Czwórek i Piątek. Trójki miały samochody naziemne; Jedynki i Dwójki miały samochody powietrzne; Szóstki i niżej chodziły na piechotę. I kosmonauci też.

Problem polegał na tym, że kosmonauci nie przywykli do chodzenia, szczególnie na planecie, na której ważą o dwadzieścia procent więcej niż są do tego przyzwyczajeni. Odgadywacz zdecydował, że pojedzie tubą; w barze klasy trzeciej może uda mu się namówić kogoś, by zawiózł go później do portu kosmicznego.

Ale pięć minut później szedł w kierunku, który barman wskazał jako prowadzący bezpośrednio do Baru Mallarda. Dotarcie do tuby wymagało pokonania odległości czterech przecznic, a po dojechaniu na miejsce, musiałby wykonać kolejny długi spacer. Bezpośrednia piesza wędrówka wymagałaby przejścia zaledwie pięciu przecznic więcej, a przynajmniej oszczędziło mu to zażenowania związanego z jazdą koleją tubową.

Być może była to głupota, ale gdy Odgadywacz już coś sobie postanowił, potrzeba było znacznie więcej niż długiego spaceru, aby odwieść go od celu. Widział, że nie jest jedynym marynarzem w mieście; jedna z tawern klasy piątej, którą mijał, huczała hałaśliwym śpiewem i widział w niej tłum ludzi skupionych wokół trzech członków załogi, którzy śpiewali wraz z nimi wyjątkowo sprośną balladę. Odgadywacz uśmiechnął się do siebie lekko. Trzeba było pozwolić im na dobrą zabawę podczas pobytu na planecie; ich życie na pokładzie statku nie było specjalnie przyjemne.

Oczywiście, jeśli chodzi o rozrywkę, dostawali tyle, ile było dla nich dobre; odrobina zabawy dawała im coś, czego mogli wyglądać w przyszłości, a gdyby popełnili błąd i wrócili na statek pijani, małe przypiekanie nerwów otrzeźwiłoby ich dosyć szybko.

W końcu przypiekanie nerwów tak naprawdę nie przerażało Piątek; byli to wielcy, twardzi, zahartowani goście, których umysły i mózgi po prostu nie były na tyle wrażliwe, aby je zranić przy pomocy tego rodzaju kuracji. Och, kiedy byli w przypiekaczu, wrzeszczeli równie głośno jak wszyscy inni, ale tak naprawdę nie miało to na nich większego wpływu. Po prostu mieli zbyt twardą skórę, aby sprawiało to im znaczącą różnicę.

Z drugiej strony dyrektor w przypiekaczu prawdopodobnie rozpadłby się na kawałki. Gdyby ten eksperyment nawet go nie zabił, przynajmniej przez kilka dni byłby chory. Byli zbyt miękcy, aby wytrzymać nawet jego dotknięcie. Nikt z klasy pierwszej, o ile Odgadywacz wiedział, nigdy nie został poddany takiej procedurze, a i Dwójki rzadko jej doświadczały. Po prostu nie byli do tego przyzwyczajeni; nie mieliby siły, aby to wytrzymać.

Jego myśli nagle przerwało jakieś znajome ostrzeżenie, które zadźwięczało w jego głowie jak dzwon. Kiedy nagle zdał sobie sprawę ze swego otoczenia, uświadomił sobie, że jakimś trafem zawędrował do dzielnicy o zdecydowanie niskiej klasie.

Wokół rozciągały się surowe, proste bloki mieszkalne rodzin klasy szóstej. Ulice były słabiej oświetlone, i nie było na nich prawie nikogo, ponieważ dla Szóstek obowiązywała godzina policyjna. Najbliższy pieszy oddalony był od niego o całą przecznicę.

Wszystko to zajęło mu tylko ułamek sekundy, a on wiedział, że to nie otoczenie wywołało ostrzeżenie w jego umyśle. Ktoś był za nim – szedł.

Co mu o tym powiedziało? Prawie nic. Leciutki dotyk stopy na cichym chodniku – delikatny szelest ubrania – szmer czegoś przesuwającego się w powietrzu.

Niemal nic, ale wystarczyło. Dla człowieka, który grał w baseball z zasłoniętymi oczami, było to całe mnóstwo wskazówek. Wiedział, że niecałe dziesięć kroków za nim ktoś rzucił coś ciężkiego i znał precyzyjnie trajektorię tego przedmiotu, z dokładnością do jednej tysięcznej milimetra, oraz wiedział dokładnie, jak przesunąć głowę, aby uniknąć pocisku.

Przesunął ją, jednocześnie szarpiąc ciałem w bok. To był tylko domysł – ale czegóż więcej potrzebował Odgadywacz?

Od pierwszego cienia ostrzeżenia do rozpoczęcia ruchu unikowego, minęło mniej niż pół sekundy.

Zaczął się obracać, gdy mijał go ciężki przedmiot, ale w jego głowie wrzasnęło wtedy kolejne ostrzeżenie. Przekręcił się jeszcze bardziej, ale było już za późno.

Coś zapłonęło strasznie w jego ciele, jakby tysiąc milionów rozgrzanych do białości igieł, z końcówkami umoczonymi w kwasie, wbiło się w skórę i ciało, docierając aż do kości. Nie był w stanie nawet krzyczeć.

Ogarnęła go ciemność, jakby był komputerem, któremu nagle odcięto zasilanie.

II

***O**czywiście*, nadeszła myśl, *najlepszym sposobem na ugaszenie ognia jest polanie go wodą. Po prostu wspaniały pomysł.*

Przynajmniej zgasił ogień.

Ogień? Jaki ogień? Ogień w jego ciele, palące gorąco, które zostało ugaszone przez wodę.

Powoli, jakby włączano go przez jakiś ospale obracający się reostat, Odgadywaczowi zaczęła wracać świadomość.

Zaczął rozpoznawać wrażenia czuciowe i sygnały swojego ciała. Ogólnie, był to tępy jednostajny, wszechogarniający ból, przerywany tu i ówdzie, ostrzejszymi ukłuciami. Czuł też wilgoć i chłód. I jeszcze to dziwne, gryzące uczucie w dole brzucha.

Początkowo nie zastanawiał się nad tym w jaki sposób znalazł się tam gdzie był, ani nawet nie myślał o tym co było wokół niego. Wydawało mu się po prostu, że istnieje absolutna potrzeba wydostania się z tego miejsca, a jednocześnie kompletnie nie był do tego zdolny. Próbował się poruszyć, zmienić pozycję, ale jego mięśnie wydawały się tak strasznie zmęczone, że samo ich napięcie było już ogromnym wysiłkiem.

Po kilku próbach udało mu się wsunąć ręce pod pierś i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że leży na brzuchu, z prawym policzkiem przyciśniętym do zimnego, oślizgłego kamienia. Uniósł się trochę, ale wysiłek był zbyt duży i znów upadł, a jego ciało lekko się rozluźniło.

Leżał przez chwilę, próbując rozwiązać zagadkę swojego dziwnego i niewygodnego położenia. Wydawało mu się, że leży na jakiejś pochyłej powierzchni z głową położoną wyżej niż stopy. Dolna część jego ciała była zanurzona w chłodnej, delikatnie poruszającej się wodzie. I było coś jeszcze…

Smród.

To był niesamowity odór, niemal duszące miazmaty rozkładu.

Poruszył głową i zmusił oczy do otwarcia. Skądś z góry, z jego prawej strony dolatywało słabe, przyciemnione światło, ale wystarczyło ono, aby mógł dostrzec sklepiony sufit kilka stóp nad nim. Leżał w jakiejś rurze, która…

I wtedy nagle nadeszło zrozumienie.

Leżał w kanale ściekowym.

Szok spowodował, że odrobinę rozjaśnił mu się umysł, oraz dodał siły jego mięśniom. Podniósł się na ręce i kolana i zaczął pełznąć w stronę tego słabego światła. Nie miał do pokonania więcej niż osiem czy dziesięć stóp, ale dotarcie tam trwało całą wieczność. Nad nim znajdowała się kratka, częściowo przykryta rozmoczoną kartką papieru. Światło najwyraźniej pochodziło z płyty oświetleniowej, znajdującej się o kilka metrów dalej.

Leżał tam wyczerpany i obolały, próbując zmusić mózg do działania, próbując zdecydować, co dalej robić.

Oczywiście musi jakoś podnieść tę kratkę; to było ewidentne. I musi wstać, żeby to zrobić. Czy miał na to siły?

Był tylko jeden sposób na to, żeby się przekonać. Ponownie uniósł się na ręce i kolana, tym razem wydawało się to łatwiejsze. Następnie,

zapierając się o zakrzywioną ścianę kanału, wstał na nogi. Jego kolana były chwiejne i słabe, ale wytrzymają. Musiały wytrzymać.

Sufit kanału ściekowego nie był tak wysoko, jak się wydawało; musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową o kratkę. Zatrzymał się w tej pozycji żeby złapać oddech, a potem wyciągnął najpierw jedną ręką, a potem drugą, i chwycił kratę.

Następnie, ze wszystkich sił, jakie tylko był w stanie zebrać, wypchnął się w górę. Krata na zawiasach poszła do góry i głośno walnęła w chodnik.

Pozostał problem wydostania się z dziury. Odgadywacz nigdy nie wiedział, jak udało mu się go rozwiązać. Jakoś jednak zdołał wydostać się z kanału i wyczerpany upadł na chodniku.

Wiedział, że istnieje jakiś powód, dla którego nie mógł tak po prostu leżeć na zawsze, tam gdzie leżał. Jakiś powód, dla którego musiał ukryć się tam, gdzie nikt go nie zobaczy.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że jest zupełnie nagi. Pozbawiono go wszystkiego, nawet chronometru na nadgarstku.

Z wysiłkiem znów wstał i zaczął biec, zataczając się jak pijany, ale jakoś udało mu się utrzymywać na nogach. Musiał znaleźć jakieś schronienie, znaleźć pomoc.

Gdzieś wtedy jego umysł znowu się wyłączył.

Obudził się, czując się bardzo zmęczony i słaby, ale dziwnie odświeżony, jakby spał dosyć długo. Kiedy otworzył oczy, przez dłuższy czas po prostu wpatrywał się w nieznany pokój, nie zastanawiając się nad niczym – w ogóle nie przejmując się czymś takim jak myślenie. Wiedział tylko, że jest mu ciepło, wygodnie i jakoś bezpiecznie, i było to tak przyjemne uczucie, po koszmarze zimna i przerażenia, że chciał się nim cieszyć nie analizując go.

Ale koszmarne wspomnienia pojawiły się ponownie i nie mógł ich stłumić. I wiedział już, że to nie był koszmar, ale rzeczywistość.

Zalała go fala pełnego przypomnienia.

Ktoś postrzelił go z broni energetycznej, tej paskudnej broni ręcznej, dostarczającej ofierze w jednym potężnym krótkim wstrząsie takiej samej energii, jaka w standardowym przypiekaczu nerwów, wlewałaby się w nią w odmierzonych dawkach przez kilka minut.

Pamiętał, jak w ostatniej chwili szarpnął się w bok, tuż przed wystrzałem z broni, i to najwyraźniej uratowało mu życie. Gdyby promień trafił go w głowę lub kręgosłup, byłby już martwy.

Co się działo później? Próba odgadnięcia czegoś, co się wydarzyło w przeszłości, była daremna, a w każdym razie odgadywanie nigdy dobrze nie działało w tego rodzaju sytuacjach. Wydawało mu się jednak, że całkiem dobrze może się domyślić, tego co się stało.

Po tym, jak został postrzelony, napastnik prawdopodobnie gdzieś go odciągnął i rozebrał, a następnie wrzucił ciało do kanału. Przestępca niewątpliwie myślał, że Odgadywacz nie żyje; gdyby ciało zostało odnalezione w kilka dni lub tygodni później, byłoby niemożliwe do

identyfikacji i prawdopodobnie sprawa zostałaby odłożona na półkę, jako kolejne nierozwiązane morderstwo. Były one dość powszechne w dzielnicach niskiej klasy, takich jak ta.

Co sprowadziło jego myśli z powrotem do pokoju, w którym leżał.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się. Standardowe mieszkanie klasy szóstej. Twarde, szare, odlewane z polimeru ściany – równe i gładkie. Taka sama podłoga i sufit. Pojedyncza płyta żarowa nad głową. Szorstka, szara pościel.

Ktoś go znalazł w trakcie tej ślepej ucieczki z grozy w kanale i sprowadził tutaj. Kto?

Kto?

Poczucie dobrego samopoczucia jakie miał po przebudzeniu, już dawno go opuściło. To, co odczuwał teraz, było dziwną mieszaniną obrzydzenia i strachu. Nigdy nawet nie znał nikogo z szóstej klasy. Najniższy rangą członek załogi na *Naipora* był Piątką.

Niespokojnie Odgadywacz wstał z łóżka. Miał na sobie szare, workowate ubranie, opadające mu niemal do kolan, i nic więcej. Podszedł po cichu na bosaka do drzwi. Nic nie mógł przez nie usłyszeć, więc ostrożnie przekręcił uchwyt i lekko je uchylił.

Natychmiast dobiegły do niego przyciszone głosy. Pierwszy z nich należał do mężczyzny.

— …gdybyś chociaż zbierała pieski, hej. — Głos brzmiał gniewnie. — On oznacza kłopoty i to duże, tak. Popatrz tylko, jaką ma twarz. On nie jest Szóstką, nie, ani nawet Piątką. Dyrektor, z całą pewnością. Kłopoty.

Potem głos kobiety.

— On, dyrektorem? — Ostry śmiech. — Nagi, brudny i przemoczony, chory, pada na moje drzwi. Od kiedy to dyrektorzy proszą o pomoc taką nędzną Szóstkę, jak ja? A od kiedy dyrektor mówi jak Szóstka, kiedy mu się pomiesza w głowie? On nie jest żadnym wydumanym dyrektorem, nie.

Odgadywacz nie rozumiał co się dzieje. Jeśli kobieta mówiła o nim – a przecież tak musiało być – to z pewnością gdy był w delirium, nie mówił żargonem niepiśmiennego człowieka z ludu, szóstej klasy.

Kobieta mówiła dalej.

— Nie, Lebby; pilnuj swoich spraw; ja będę pilnować swoich. Masz, weź to i weź trochę jedzenia. A teraz już idź, natychmiast. Wróć kiedy się ściemni.

Mężczyzna pozrzędził jeszcze trochę na coś, czego Odgadywacz nie zrozumiał, ale w jego głosie słychać było pewną rezygnację. Następnie drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym zapadła cisza.

Potem usłyszał kroki kobiety zbliżającej się do lekko uchylonych drzwi. Jej głos powiedział:

— Miałaś szczęście, że Lebby stał plecami do ciebie, kiedy otworzyłeś drzwi. Gdyby zobaczył, że się poruszyły, wiedziałby że się obudziłeś.

Gdy weszła, Odgadywacz cofnął się od drzwi.

Była to szara kobieta o bezbarwnej twarzy, która wydawała się idealnie pasować do bezbarwnego charakteru swojego ubrania. Włosy miała krótko przystrzyżone i wydawało się, że cała jest jakaś obwisła, tak jakby jej ciało próbowało dostosować się do bezkształtnej sukni, zamiast na odwrót. Gdy zmusiła się do uśmiechu, wyglądał on jakoś dziwnie, jakby jej usta nie były przyzwyczajone do takiego traktowania ze strony mięśni.

— Jak się czujesz? — zapytała, zatrzymując się w wejściu do pokoju.

— Ja… hmm… — Odgadywacz nie wiedział, co odpowiedzieć. Był w całkowicie obcym środowisku, w zupełnie nieznanej sytuacji. — Nic mi nie jest — stwierdził w końcu.

Skinęła głową.

— Bardzo długo spałeś, naprawdę. Jak zabity, poza tym że rozmawiałeś ze sobą.

Potem zapytał się gorączkowo.

— Na jak… jak długo byłem nieprzytomny?

— Trzy dni — powiedziała obojętnie. — Prawie cztery. — Przerwała na chwilę. — Twój statek odleciał.

— Odleciał? — powtórzył bezwiednie Odgadywacz. — *Naipor*? Odleciał?

Poczuł, jakby świat zapadł mu się pod nogami, a on bez końca spadał przez nicość. Oczywiście, to musiała być prawda. Wyładowanie towarów ze statku zajęło nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny, a ponieważ nie przewidywali załadunku nowych, nie było potrzeby aby pozostawać tu dłużej. Planowany termin startu już dawno minął.

Wywołało w jego umyśle próżnię, dziurę w samym jego jestestwie, której nic nie było w stanie wypełnić. Statek był jego całym życiem – jego domem, pracą, bezpieczną przystanią.

— Skąd wiesz o statku? — spytał oszołomionym głosem.

— Ogłoszenie — powiedziała.

Zaczęła szperać w jednej z wielkich kieszeni swej szarej sukienki, aż w końcu jej ręka wynurzyła się z niej ze zmiętą kartką błyszczącego papieru. Podała mu ją w milczeniu. To było ogłoszenie o złamaniu kontraktu.

POSZUKIWANY
Za
NARUSZENIE KONTRAKTU

JAIM JAKOM DIEGO

WIEK: 35
WZROST: 185 cm
WAGA: 96 kg
WŁOSY: czarne
OCZY: niebieskie
CERA: jasna

Jaim Jakom Diego, Spacetech 3. Odgadywacz, zerwał kontrakt z Interstellar Trade Corporation w dniu 3/37/119 nie zgłaszając się na służbę na pokładzie statku handlowego *Naipor*, w tym dniu. Wszyscy

obywatele zostają niniejszym powiadomieni, że rzeczony Jaim Jakom Diego nie może być zatrudniany przez nikogo, poza ITC, i że nie ma prawa do mieszkania, odzieży ani prawa do utrzymania na żadnej planecie, ani żadnych uprawnień do korzystania z jakiegokolwiek rodzaju transportu.

STANDARDOWA NAGRODA PLUS BONUS ZA INFORMACJE PROWADZĄCE DO ZATRZYMANIA TEGO CZŁOWIEKA

Odgadywacz popatrzył na towarzyszące ogłoszeniu zdjęcie. Było stare, zrobione prawie piętnaście lat temu. Już nie wyglądał tak, jak widoczny na nim człowiek. Ale to nie miało znaczenia; nawet jeśli nie uda się go złapać, to przecież nie miał dokąd pójść. Uciekinier prawie nie miał szans na dłuższą ucieczkę. Co by jadł? Gdzie by mieszkał?

Poparzył sponad kartki na twarz kobiety. Odpowiedziała mu stanowczym, pewnym spojrzeniem. Wiedział już dlaczego traktowała go jak równego sobie, mimo iż wiedziała że należy do trzeciej klasy.

— Dlaczego nie próbowałaś odebrać nagrody? — zapytał. Nagle poczuł się słaby i znów usiadł na brzegu łóżka.

— Potrzebuję cię. — Potem jej oczy rozszerzyły odrobinę. — Blado wyglądasz, wiesz. Przyniosę ci coś solidnego do zjedzenia. Do tej pory przez całe trzy dni nie dawałam ci nic poza zupą. Zupa. Siadaj, zaraz wrócę.

Skinął głową. Czuł się niedobrze.

Wyszła do drugiego pomieszczenia, zostawiając otwarte drzwi, tak by mógł słyszeć, co się dzieje w małej kuchni. Kobieta zaczęła mówić, podnosząc nieco głos, aby ją słyszał.

— Lubisz jajka? — spytała.

— Zależy jakie — powiedział Odgadywacz. — Chociaż to nie ma znaczenia. Jestem głodny.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest głodny.

— Zależy jakie? — Głos kobiety był zdziwiony. — To jest więcej niż jeden rodzaj jajek? — W kuchni nagle ucichło, jakby czekała z natężeniem na jego odpowiedź.

— Tak — powiedział Odgadywacz. — Na innych planetach. Co to za jajka?

— Po prostu… zwykłe jajka.

— Mam na myśli, od jakiego rodzaju zwierzęcia pochodzą?

— Kura. Co innego mogłoby składać jajka?

— Inne ptaki.

Trochę żałował, że nie wie więcej o faunie Viornis. Kurczaki były zwierzętami prawie uniwersalnymi; mogły przeżyć prawie wszędzie. Ale inne ptaki też dobrze sobie radziły. Wzruszył ramionami; nie jego problem; takie rzeczy to sprawa ekologów.

— Ptaki? — spytała kobieta. To było dla niej nieznane słowo.

— Różne rodzaje kur — odparł ze zmęczeniem. — Niektóre większe, inne trochę mniejsze, różne kolory. — Miał nadzieję, że ta odpowiedź ją usatysfakcjonuje.

Widocznie tak było. Powiedziała „Och” i zajęła się swoją pracą.

Zaledwie po minucie lub dwóch, cisza stała się nie do zniesienia. Odgadywacz miał ochotę zwymyślać kobietę, żeby się zamknęła, zostawiła go w spokoju i nie zawracała mu głowy swoimi dyletanckimi pytaniami, na które nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż z natury była za głupia, by cokolwiek zrozumieć. Zastanawiał się, dlaczego na nią nie nakrzyczał; przecież Trójka nie miał obowiązku odpowiadać na pytania Szóstki.

Ale odpowiedział jej, a kiedy przestała mówić, zaczął rozumieć, dlaczego. Chciał z kimś rozmawiać i chciał, żeby ktoś mówił do niego. Chciał robić cokolwiek, co wypełniłoby pustkę w jego umyśle; cokolwiek co zajęłoby miejsce świata, który nagle zniknął.

Co by teraz robił, gdyby to wszystko się nie wydarzyło? Mimowolnie zerknął na nadgarstek, ale chronometr zniknął.

Obudziłby się, jak zawsze, dokładnie o godzinie 0600 czasu statku. Ubrałby się, a o 0630 byłby przy stole, jedząc w milczeniu posiłek z innymi marynarzami ze swojej klasy. O 0640 posiłek się kończył i dozwolona była krótka konwersacja, do 0645. Następnie kontrola systemu kierowania ogniem od 0650 do 0750. Potem…

Zmusił się do oderwania od tego, starając się nie myśleć o przyjemnej, regularnej, uporządkowanej rutynie, którą żył przez ostatnie ćwierć wieku, a nawet nieco dłużej.

Kiedy znów usłyszał głos kobiety, poczuł wręcz ulgę.

— Kim jest odgadywacz?

Wytłumaczył jej najlepiej, jak potrafił, starając się ubrać swoje wyjaśnienia w słowa zrozumiałe dla kobiety o tak ograniczonym słownictwie i inteligencji. Nie był pewien, czy mu się to udało, ale rozmowa o tym przyniosła mu ulgę. Czuł się niemal tak, jakby zagłębił się w rutynową procedurę, stosowaną przez niego na kursach orientacyjnych dla młodych Odgadywaczy, przydzielonych mu aby ich chronił i szkolił.

— Dokładnego przewidywania tego rodzaju nie da się nauczyć wszystkich ludzi; jeżeli człowiek nie ma w sobie wrodzonych zdolności do funkcji odgadywacza, nie jest w stanie nauczyć się odgadywania, tak jak ślepiec nie jest w stanie nauczyć się czytać. — (W tym momencie przyszła mu do głowy myśl, jak kobieta z szóstej klasy przeczytała zawiadomienie o naruszeniu kontraktu. Musi spytać ją o to później.) — Z drugiej strony, podobnie jak samo posiadanie poprawnie funkcjonujących oczu nie daje automatycznie zdolności czytania, tak samo genetyczne dziedzictwo potencjału odgadywacza, nie pozwala od razu na dokładne, przydatne w praktyce odgadywanie. Przekucie tych potencjalnych zdolności w niezbędne umiejętności, wymaga lat ciężkiej pracy i ćwiczeń.

— Trzeba nauczyć się koncentracji, skupienia całej uwagi na wykonywanej pracy, aby...

Przerwał nagle. Kobieta stała w drzwiach, trzymając talerz i parujący kubek. Jej oczy były rozszerzone ze zdziwienia i z zaskoczenia.

— Masz na myśli mnie?

— Nie… nie — pokręcił głową. — Ja… myślałem o czymś innym.

Weszła, podając mu jedzenie.

— Masz łzy w oczach. Coś cię boli?

Chciał powiedzieć „tak". Chciał jej opowiedzieć o tym, co go zraniło i dlaczego. Ale słowa nie chciały nadejść – lub nie mogły.

— Nie — powiedział. — Oczy mam trochę rozmazane, to wszystko. Z rozespania.

Skinęła głową, przyjmując jego wyjaśnienia.

— Proszę. Zjedz to. Wypełnij czymś brzuch.

Zjadł, nie dbając o to jak to smakuje. Nie odzywał się, podobnie jak i ona, za co był jej wdzięczny. Rozmowa podczas posiłku nie miałaby dla niego sensu i byłaby bolesna.

Dziwnie było pomyśleć, że w pewnym sensie, klasa szósta miała więcej swobody niż on. Gdyby chciała, pewnie mogłaby mówić nawet podczas posiłku.

Cieszył się również, że nie próbowała jeść razem z nim. To, że jedzenie zostało ugotowane i podane przez Szóstkę, nie przeszkadzało mu, ani nie przeszkadzała mu jej obecność koło niego. Ale gdyby usiadła z nim, żeby zjeść…

Na szczęście nie zrobiła tego, więc odsunął tę myśl od siebie.

Po posiłku poczuł się znacznie lepiej. Prawdę mówiąc, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był głodny.

Wyniosła naczynia i niemal natychmiast wróciła.

— Myślałeś już, co teraz zrobisz? — zapytała.

Pokręcił przecząco głową. Nie myślał. Nawet nie chciał myśleć. Wydawało mu się, że gdzieś w głębi umysłu coś mu szeptało, iż to wszystko było tylko złym snem i że w zaraz obudzi się w swojej kabinie na pokładzie *Naipora*. Na poziomie rozumowym zdawał sobie sprawę, że to nieprawda, ale potrzeby emocjonalne w połączeniu z myśleniem życzeniowym, zakłócały jego poczucie zdrowego rozsądku.

Wiedział jednak, że nie może tu zostać. Myśl o życiu przez resztę swoich dni w środowisku klasy szóstej, była dla niego wręcz odpychająca. Ale nigdzie indziej też nie mógł pójść. Mimo że nie był jeszcze formalnie skazany, został skutecznie pozbawiony swej klasy.

— Wydaje mi się, że po prostu oddam się w ręce korporacji — odparł. — Powiem im, że zostałem napadnięty – może mi uwierzą.

— Może? Tylko może?

Wzruszył lekko ramionami.

— Nie wiem. Nigdy wcześniej nie miałem takich kłopotów. Po prostu nie mam pojęcia.

— Co ci zrobią, jeśli oddasz się w ich ręce?

— Tego też nie wiem.

Nagle jej spojrzenie uciekło gdzieś daleko.

— Ja chyba mam pomysł. Może nam obojgu uda się dostać w pewne miejsce.

Popatrzył na nią szybko.

— Co masz na myśli?

Jej spojrzenie powróciło z dalekiej podróży, a wzrok skupił się prosto na jego oczach.

— Nieprzystosowani — powiedziała stanowczym głosem. — Nieprzystosowani. Moglibyśmy uciec do Nieprzystosowanych.

III

Odgadywacz walczył z Nieprzystosowanymi od dwudziestu lat i nienawidził ich, odkąd tylko sięgał pamięcią. Pomysł, że mógłby zostać jednym z nich, po prostu nigdy nie przyszedł mu do głowy. Nawet pomysł udania się na jeden ze Światów Nieprzystosowanych był mu tak obcy, że sama sugestia czegoś takiego, wywarła na nim wręcz szokujące wrażenie.

A jednak propozycja kobiety Szóstki wymagała odrobinę namysłu, zanim ją zaakceptuje lub odrzuci.

Nieprzystosowani. Co on tak naprawdę o nich wiedział?

Oczywiście oni sami, nie nazywali siebie Nieprzystosowanymi; była to obraźliwa nazwa używana przez Arystarchię. Ale Odgadywacz nie mógł sobie tak od ręki przypomnieć, jak na siebie mówili. Wiedział, że stosowana u nich forma rządów była zbliżoną do anarchii postacią ochlokracji – jakiegoś rodzaju rządy motłochu, jak tego można było się spodziewać po takich ludziach. Wyrosły one ze dawnej polityki, którą przed wiekami stosowano do zaludnienia planet galaktyki.

Są ludzie, którzy po prostu nie pasowali, nie pasują i nigdy nie będą w stanie się dopasować, do żadnej organizacji społecznej – może z wyjątkiem tych najluźniejszych. W zależności od społeczeństwa, w którym żyli i typu ich aspołecznej działalności, przez stulecia określano ich terminami rozciągającymi się od „kryminalistów” po „pionierów”. Różnica polegała na tym, czy walczyli z niemiłą im kontrolą pozostającego u władzy społeczeństwa, czy też uciekali przed nią.

Wiedza Odgadywacza o historii była prawie zerowa, ale słyszał, że ekspansja do gwiazd z Ziemi – planety, której nigdy nie widział w promieniu tysiąca parseków – została zrealizowana dzięki celowemu łączeniu ochotników ze skazańcami i wysłaniu ich na nowo odkryte planety typu ziemskiego. Kiedy minęło jedno pokolenie, przybywali inni – bardziej cywilizowani – i zasiedlali planety, czyniąc je częścią Arystarchii.

(Ale czy Arystarchia była aż taka stara? Odgadywacz miał wrażenie, że ówczesny rząd miał inną formę, ale nie mógł sobie przypomnieć, na czym ona polegała. Być może była to jakaś prototypowa forma Arystarchii, ponieważ obecny system społeczny z pewnością istniał już od czterech czy pięciu stuleci – a może nawet dłużej. Odgadywacz zdał sobie sprawę, że jego wiedza na temat historii starożytnej była tak samo pogmatwana, jak wszystkich innych; w końcu nie była to jego specjalność. Pamiętał, że kiedyś jako chłopiec, słyszał, jak nauczyciel dyrektor mówił o epokach geologicznych Ziemi i powiedział, że „jaskiniowcy nie żyli współcześnie z dinozaurami”. Nie wiedział wtedy co to znaczy, ponieważ nikt się nie spodziewał że będzie tego słuchał, ale zdał sobie sprawę, że historie z różnych czasów często się ze sobą mieszały.)

W każdym razie proces ekspansji przebiegał sprawnie, podobnie jak obecny proces wykorzystania obywateli siódmej klasy i zdeklasyfikowanych. Ale na początku, u zarania Arystarchii, nie było takiej

sprawnej organizacji, jak obecnie; czasami planety gubiły się na wiele pokoleń. (Odgadywacz mgliście sobie przypominał, że w tych czasach miały miejsce wojny i że właśnie one przyczyniały się głównie do tych zaginięć). Niektóre planety ucywilizowały się same, bez ingerencji rządu Ziemi, a kiedy rząd Ziemi się pojawiał, walczyły z integracją, korzystając ze wszystkich środków jakie miały do dyspozycji.

Większość opornych planet została w końcu ujarzmiona, ale wciąż było wiele „planet ukrytych", które zorganizowały się jako odrębne rządy w ramach luźnej konfederacji. To byli Nieprzystosowani.

Ze względu na liczebną przewagę Arystarchii i ponieważ działała ona otwarcie, a nie czaiła się gdzieś w mrokach kosmosu, Nieprzystosowani wiedzieli, gdzie znajdują się planety Arystarchii, podczas gdy Arystarchia nie była w stanie sprawdzić każdej planety wśród tych kroci systemów gwiezdnych, które tworzyły galaktykę.

W ten sposób Nieprzystosowani stali się piratami, żerującymi na statkach handlowych Arystarchii. Dlaczego? Nikt tego nie wiedział. (A przynajmniej, poprawił się Odgadywacz, nie wiedział tego on.) Taka nienormalna cywilizacja zawsze mogła mieć jakieś bezsensowne powody swoich działań.

Arystarchia zajmowała prawie wszystkie planety galaktyki, które nadawały się do zamieszkania przez człowieka; tyle powiedziano Odgadywaczowi. To, dlaczego planety typu ziemskiego mogły pojawiać się tylko w odległości do pięciu tysięcy lat świetlnych od Centrum Galaktycznego, było dla niego tajemnicą, ale w końcu nie był astrofizykiem.

Jednak kobieta Szóstka twierdziła, że ona słyszała, iż Arystarchia ukrywa niewygodne fakty; że dalej, aż do Peryferii, było całe mnóstwo planet i wszystkie zajęte były przez Nieprzystosowanych; że legendarna Ziemia była jedną z tych planet; że…

Całe mnóstwo rzeczy. Wszystkie mylne, o ile było wiadomo Odgadywaczowi. Kobieta była jednak głęboko przekonana, że jeśli komukolwiek uda się dostać na planetę Nieprzystosowanych, zostanie on na niej przyjęty z otwartymi rękoma. Jak twierdziła, wśród Nieprzystosowanych nie ma podziału na klasy. (Odgadywacz całkowicie odrzucił to stwierdzenie; społeczeństwo bezklasowe było już na pierwszy rzut oka czymś zupełnie absurdalnym).

Odgadywacz spytał kobietę, dlaczego – jeśli jej twierdzenia były prawdą – Nieprzystosowani już dawno temu nie podbili Arystarchii. W końcu, jeżeli rządzili całą galaktyką aż do samych peryferii, musieli otaczać Arystarchię ze wszystkich stron, nieprawdaż?

Nie miała na to odpowiedzi.

Dopiero później Odgadywacz zdał sobie sprawę, że on zna tę odpowiedź. Prawdę mówiąc, on sam był małym, ale znaczącym elementem tej odpowiedzi.

Nieprzystosowani nie mieli odgadywaczy. Był to fakt, o którym Odgadywacz wiedział z własnego doświadczenia. Brał udział w wielu bitwach kosmicznych z flotami Nieprzystosowanych i przeprowadził *Naipora* przez te bitwy bez żadnego szwanku, samemu siejąc spustoszenie

i zniszczenie wśród mnóstwa statków Nieprzystosowanych. Nie mieli Odgadywaczy. (Lub przeszkolonych Odgadywaczy, poprawił się. Potencjalni mogli wśród nich istnieć, ale na pewno nie było żadnego prawdziwego.)

Przyszło mu do głowy, że Nieprzystosowani mogli mieć innego rodzaju wyszkolone talenty. Wydawało się, że są w stanie wyszukać i znaleźć nawet pojedynczy statek Arystarchii, podczas gdy całej floty Nieprzystosowanych nie można było wykryć, dopóki nie znalazła się ona w odległości bezpośredniego ataku. No cóż, to znowu nie była jego sprawa.

Jednak żadna z tych kwestii na dłuższą metę nie była ważna; wszystkie one miały zaledwie pomniejsze znaczenie. Najważniejszą rzeczą dla Odgadywacza, która skłoniła go do działania, było wyznanie kobiety, że ma ona plan dotarcia do planet Nieprzystosowanych.

Był on zresztą dosyć prosty, naprawdę; mieli zostać wzięci do niewoli.

— Widzisz, ich statki kosmiczne nie przewożą na pokładzie ludzi — powiedziała, jakby wiedziała o czym mówi. — Oni chcą po prostu przechwycić nasze statki, a nie zabijać. Więc wysyłają mnóstwo małych statków działających na własną rękę, tylko po to, żeby... och... uszkodzić nasze statki. To nie ma znaczenia, że ich małe statki giną, bo nikogo na nich nie ma, rozumiesz. Próbują zdobyć nasze statki w dobrym stanie, ludzi i rzeczy którzy na nich są, to wszystko.

— Tak, tak — niecierpliwie przerwał jej Odgadywacz. — Ale co to ma wspólnego z nami?

Machnęła ręką, jakby była nieco zbita z tropu jego stanowczym tonem. W końcu nie była przyzwyczajona do rozmowy jak równy z równym, z ludźmi klasy Trzeciej, chociaż wiedziała, że w tym przypadku ta Trójka była zdana na jej łaskę.

— Mówię ci przecież! Mówię ci! — Przerwała aby uporządkować myśli. — Muszę cię jednak zapytać o coś: jeśli znajdziemy się na statku, czy zdołasz powstrzymać załogę przed strzelaniem do statków Nieprzystosowanych?

Odgadywacz rozumiał, do czego zmierza. Nie miało to jeszcze większego sensu jako całość, ale pojawił się mały przebłysk.

— Czy chcesz powiedzieć — upewnił się — że interesowałaby cię, możliwość częściowego wyłączenia systemu kierowania ogniem statku kosmicznego, na tyle aby umożliwić jego przechwycenie przez statki Nieprzystosowanych?

Skinęła szybko głową.

— Tak… myślę, że tak. Czy potrafiłbyś to zrobić?

— Ta-a-ak — odparł powoli i ostrożnie Odgadywacz. — Mógłbym. Ale nie da się tak po prostu wejść na statek i to zrobić. Mam na myśli, że dostanie się na pokład statku jest prawie niemożliwe, a bez oficjalnego stanowiska i tak nie byłbym w stanie nic zdziałać.

Ona jednak nie wyglądała na rozczarowaną. Zamiast tego, uśmiechnęła się lekko.

— Wprowadzę nas na statek — powiedziała. — I będziesz miał oficjalne stanowisko. Zrobimy to.

Kiedy zaczęła mu wszystko wyjaśniać, odgadywacza zaskoczyła zuchwałość jej planu – na początku. A potem zaczął rozumieć, jak to było możliwe.

Do tego czasu kobieta przekazała Odgadywaczowi dwie informacje, o których wcześniej nie pomyślał. Pierwszą było jej imię: Deyla. Druga dotyczyła jej pracy.

Była sprzątaczką na terenie Dyrektorskim.

A kiedy nakreśliła swój plan dotarcia do Nieprzystosowanych, Odgadywacz poczuł że rozpacz zaczyna opuszczać jego umysł i zastępuje ją nadzieja.

Odgadywacz wędrował z szacunkiem ulicą w stronę wysokiego, błyszczącego budynku, który znajdował się w pobliżu centrum obszaru Dyrektorskiego; jego stopy poruszały się ostrożnym krokiem, a oczy utkwione były przez cały czas w miękkiej, wytłaczanej powierzchni chodnika. Miał na sobie szorstki szary ubiór robotnika klasy szóstej, a jego zachowanie było starannie dopasowane do tego obrazu. Gdy zbliżały się do niego Czwórki i Piątki, uważnie odsuwał się na bok, zachowując pustą twarz, ukrywając gniew, który kipiał tuż pod tą maską.

Wokół ramienia miał zapiętą złotą bransoletę, która wskazywała na to, że został zakontraktowany przez kogoś z Klasy Pierwszej, a w kieszeni znajdowała się starannie sfałszowana karta, mówiąca to samo. Nikt go nie zauważył; był tylko kolejnym Szóstakiem zmierzającym do przydzielonej mu służebnej pracy.

Na froncie budynku widniała duża błyszcząca tablica z napisem:

VIORNIS EXPORT CORPORATION

Ale frontowe wejście nie było miejscem odpowiednim dla Szóstki. Minął je, regularnie usuwając się z drogi obywatelom wyższych klas, niż jego domniemana Szóstka. Dotarł do wąskiej uliczki biegnącej na tyłach budynku.

Stał tam strażnik z klasy piątej, uzbrojony w ciężką pałkę, stojący przy drzwiach prowadzących do wejścia dla robotników. Odgadywacz, zgodnie z instrukcjami Deyli, kiedy zbliżał się do drzwi wyciągnął kartę. Strażnik prawie na niego nie spojrzał, tylko wskazał kiwnięciem palca, że Odgadywacz może przejść. Nie zawracał sobie głowy mówieniem.

Odgadywacz kiedy wchodził do środka, drżał – częściowo ze złości, a częściowo ze strachu. Wydawało się śmieszne, że już na pierwszy rzut oka strażnik nie zorientował się, iż nie należy do szóstej klasy. Odgadywacz był absolutnie pewien, że nie wygląda jak Szóstak. Ale Piątki nie były przecież zbyt spostrzegawcze.

Odgadywacz zagłębił się dalej w pajęczą sieć korytarzy w dolnej części budynku, kierując się wskazówkami podanymi mu przez Deylę. Ani przez

chwilę się nie wahał; jego pamięć odnośnie takich rzeczy, była niemal tak idealna, jakby wcześniej wszystko sobie zapisał. Znał jej instrukcje na tyle dobrze, że mógłby trafić do każdego miejsca w tym budynku, nawet z zasłoniętymi oczyma.

I znów Odgadywacz poczuł się lekko zaniepokojony względną wolnością Szóstek. Dopóki wykonywali swoją pracę, prawie nie było kontroli nad tym, w jaki sposób spędzają wolny czas. No cóż, szczerze mówiąc prace, do których się nadawali, były raczej trywialne – niektóre z nich tak naprawdę należałoby zaliczyć do pracy ręcznej. W końcu w dobrze zarządzanym społeczeństwie aksjomatem było, że wszyscy mają mieć zapewnione podstawowe bezpieczeństwo pracy; dzięki temu wszyscy byli szczęśliwi.

Oczywiście było wiele Szóstek pracujących w budownictwie i na farmach, ci byli nadzorowani przez swych zwierzchników, ale prace porządkowe i podobne, nie wymagały takiego nadzoru. Rzeczy nie mogą być jeszcze czystsze niż czyste – trudno tu ustanowić jakiś limit do wypełniania i przekraczania.

Po kilku minutach wędrówki po korytarzach i wchodzenia po schodach – Szóstki nie używały ruchomych schodów ani chodników – znalazł pomieszczenie, w którym Deyla poleciła mu, aby się z nią spotkał. Był to mały magazyn z narzędziami i środkami czyszczącymi. Czekała już tam na niego.

Teraz jednak, kiedy nadszedł czas na rozpoczęcie wprowadzania jej planu w życie, na twarzy kobiety pojawił się strach. Odgadywacz wiedział już wtedy, że miał rację podejmując taką a nie inną decyzję. Ale nic jeszcze o tym nie wspomniał.

— Czy już wiesz na pewno, jakie jest miejsce docelowe? — spytał zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Przytaknęła nerwowo głową.

— Tak, tak. Planeta D'Graskiego. Tak właśnie powiedział.

— Dobrze. — Odgadywacz czekał na ten dzień przez trzy tygodnie, ale wiedział, że w końcu musi on nadejść. Planeta D'Graskiego była najbliższą bazą stoczniową; prędzej czy później jakiś statek musiał lecieć na nią jako do następnego portu po Viornis. Powiedział Deyli, że trasa na D'Graskiego jest najbardziej prawdopodobnym celem ataków przez statki Nieprzystosowanych, że zanim będą mogli zrealizować swój plan, będzie musiała poczekać aż w porcie kosmicznym wyląduje statek, który tam leci. I w końcu taki statek się znalazł.

— Jak nazywa się statek? — zapytał.

— T... *Trobwell*.

— Co się z tobą dzieje? — spytał nagle surowym tonem.

Zadrżała.

— Boję się. Okropnie się boję.

— Tak myślałem. Masz ubranie?

— T-tak. — Wtedy zupełnie się rozsypała. — Musisz mi pomóc! Musisz mi pokazać, jak powinna się zachowywać dama z klasy dyrektorskiej! Pokaż, jak mam mówić! W przeciwnym razie złapią nas oboje!

Potrząsnął nią, żeby ją uspokoić.

— Zamknij się! — Kiedy się uspokoiła, powiedział: — Oczywiście, masz rację; gdybyś się potknęła, oboje zostalibyśmy złapani. Ale obawiam się, że już jest za późno, żeby cię tego nauczyć. Od początku było za późno.

— C-co... co masz na myśli?

— Nieważne. Gdzie jest walizka na podróż?

W milczeniu wskazała ręką na regał, jeden z wielu ustawionych wzdłuż ścian pomieszczenia.

Odgadywacz podszedł do niego i zdjął pudło z filtrami do oczyszczaczy przeciwpyłowych. Za nim stała złoto-niebieska walizka podróżna. Dziewczyna poświęciła wiele miesięcy na kradzież szeregu drobnych rzeczy, krok po kroku; zaczęła już na długo przedtem, zanim Odgadywacz pojawił się w jej życiu, marząc o dniu, w którym zostanie panią dyrektor. Dopóki się nie pojawił, nie mogła podjąć próby zamiany tego marzenia w rzeczywistość.

Odgadywacz wcisnął zamek, i walizka podróżna rozłożyła się na dwie połowy. Wśród kobiecych ubrań zalśnił złoty mundur dyrektora pierwszej klasy. Nie zapomniała o żadnym szczególe; pod mundurem w walizce był drogi pistolet energetyczny i kabura.

Wziął go ostrożnie, niemal z czcią. To był pierwszy raz kiedy trzymał taką broń w ręku, od czasu gdy został postrzelony, tak dawno temu. Ustawił pokrętło intensywności na pozycję „ogłuszanie”.

— Założymy ubrania tutaj? — zapytała ściszonym głosem. — I tak po prostu wyjdziemy? Ja bym się bała!

Wstał z ogłuszaczem w dłoni, z lufą skierowaną w stronę podłogi.

— Pozwól, że coś ci powiem — oznajmił, starając się mówić tak uprzejmie, jak tylko mógł. — Może uchroni cię to kiedyś przed dalszymi kłopotami. Nigdy nie będziesz mogła uchodzić za dyrektorkę. Nigdy. Nie ma znaczenia, jak długo próbowałabyś to ćwiczyć, po prostu nie jesteś w stanie tego zrobić. Twój umysł jest do tego niezdolny. Każde twoje słowo, każdy twój manieryzm byłby jasną i czytelną wskazówką.

Z wolna na jej twarzy pojawił się szok.

— Nie weźmiesz mnie ze sobą — powiedziała swoim miękkim, płaskim głosem.

— Nie.

— Jak więc mam przedostać się do Nieprzystosowanych? Jak? — W jej oczach pojawiły się łzy, które powoli zaczynały wypełniać dolne powieki.

— Bardzo mi przykro — powiedział, — ale obawiam się, że twoi wyidealizowani Nieprzystosowani, po prostu nie istnieją. Cały ten pomysł jest absurdalny. Ich szalone ataki na nas pokazują, że mają niestabilne, wypaczone umysły – i nie mów mi o statkach obsługiwanych przez maszyny lub sterowanych przez roboty. Nie buduje się maszyny która miałaby wykonywać pracę człowieka, kiedy ten człowiek jest tańszy. Twoje fantazyjne państwo Nieprzystosowanych rozpadłoby się już dawno temu, gdyby próbowało działać na zasadzie że istota ludzka niższej klasy jest warta więcej, niż maszyna. Będzie ci lepiej jeśli zostaniesz tutaj, i zajmiesz się swoją pracą; taki raj jak bezklasowe społeczeństwo Nieprzystosowanych, po prostu nie istnieje.

Kiedy mówił to, kręciła przecząco głową, próbując odepchnąć od siebie słowa, które niszczyły jej ukochane marzenie. Ale słowa stopniowo odnosiły swój efekt, ponieważ mu uwierzyła, gdyż on sam sobie wierzył.

— Nie — powiedziała cicho. — Nie, nie, nie.

Odgadywacz uniósł lufę pistoletu i strzelił do niej, posyłając ją na podłogę, tam gdzie stała.

Pół godziny później Odgadywacz walczył z przepełniającym go strachem. Z najwyższym trudem, udało mu się spokojnie przejść po wielkim lądowisku kosmicznym w kierunku ogromnej bryły *Trobwella*, nie zdradzając tego strachu.

Gdyby go teraz złapali…

Wyrzucił tę myśl z głowy i szedł dalej.

U podstawy stanowiska startowego stał nieruchomy strażnik czwartej klasy. Kiedy Odgadywacz przechodził koło niego, skłonił głowę i zasalutował.

To takie proste! — Pomyślał Odgadywacz. — Tak niesamowicie proste!

Nawet kapitan statku będzie tylko dyrektorem klasy drugiej. Nikt nie zakwestionuje jego pozycji – nikt by się nie odważył.

Kiedy wszedł na statek, porucznik podniósł wzrok, zaskoczony, i pośpiesznie zasalutował.

— To zaszczyt gościć pana na pokładzie, wielki panie — powiedział przepraszającym tonem — ale, oczywiście, zdaje pan sobie sprawę z tego, że za kilka minut startujemy?

Słowa uwięzły nagle Odgadywaczowi w gardle, i musiał przełknąć ślinę, zanim zaczął mówić.

— Wiem o tym. Ja… lecę z wami.

Porucznik szeroko otworzył oczy.

— Nie wydano żadnych rozkazów w tym zakresie, panie.

Nadeszła decydująca chwila! — pomyślał Odgadywacz. Albo to teraz przeforsuje, albo będzie zgubiony – kompletnie.

Skrzywił się.

— A więc proszę je wydać! Przepraszam kapitana za tę zmianę w ostatniej chwili, ale nie życzę sobie żadnych opóźnień w starcie. Jest absolutnie niezbędne, abym szybko dotarł na Planetę D'Graskiego!

Porucznik lekko zbladł.

— Przepraszam, wielki panie! Dopilnuję, aby rozkazy zostały wydane. Czy życzy pan sobie kabinę?

— Oczywiście. Zakładam, że macie odpowiednią?

— Jestem pewien, że tak, wielki panie; natychmiast każę oficerowi kwaterunku jakąś załatwić.

— Doskonale — powiedział Odgadywacz. — Doskonale.

Piętnaście minut później *Trobwell* oderwał się od powierzchni planety, dokładnie zgodnie z rozkładem lotu. Odgadywacz w przydzielonej kajucie odetchnął głęboko z ulgą. Nareszcie był w drodze na planetę D'Graskiego!

— **P**roszę mi powiedzieć, wielki panie — powiedział kapitan, — jaką ostateczną decyzję według pana powinienem podjąć w tym przypadku? — Przesunął plik papierów po blacie biurka do Odgadywacza.

Odgadywacz popatrzył na papiery niewidzącym spojrzeniem, a jego umysł zawirował. Od pięciu dni kapitan *Trobwella* podsuwał mu co chwila jakieś papiery i zadawał tego rodzaju pytania. A skoro nosił rangę dyrektora, oczekiwano od niego jakiejś odpowiedzi.

Ten przypadek wydawał się jeszcze bardziej skomplikowany niż poprzednie, a żaden z nich nie był prosty. Zmusił oczy do przeczytania druku, zmusił umysł do przyswojenia sobie faktów.

Nie były to tak jasne problemy, jak te z którymi miał do czynienia przez całe dotychczasowe życie. Obliczenie w głowie orbity było zupełnie proste w porównaniu z tymi fantastycznymi problemami.

Tym razem chodziło o wybór jednego z trzech różnych rodzajów ładunków, które miały zostać przetransportowane do trzech różnych miejsc docelowych. Który z nich będzie najlepszym wyborem? Najbardziej opłacalnym z punktu widzenia energii, jeśli chodziło o statek, oraz biorąc pod uwagę względne wartości ładunków? A co z względnymi wskaźnikami utraty wartości w porównaniu ze zmieniającymi się cenami na rynkach?

Wszystkie te liczby tam były, miał je tuż przed oczyma, napisane wyraźnym drukiem. Ale nic dla niego nie znaczyły. Często nie był w stanie dostrzec różnicy między jedną alternatywą a drugą.

Kiedyś przekazano mu transkrypcję procesu na statku, podczas którego świadkowie przedstawiali dwie sprzeczne ze sobą wersje incydentu, a jeszcze inną, trzecią, oskarżony. Jak można ocenić coś takiego? A jednak poproszono go o to.

Zagryzł dolną wargę ze zdenerwowania, ale natychmiast się powstrzymał, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie czas teraz na nerwy.

— Powiedziałbym, że najlepszym wyborem byłby Plan B — w końcu oznajmił. Uświadomił sobie, że to było to szalony ruch na ślepo, a jednak nie potrafił wymyślić niczego lepszego. Czy popełnił błąd?

Kapitan poważnie skinął głową.

— Dziękuję panu, wielki panie. Był pan bardzo pomocny. Podejmowanie decyzji to zbyt ważna rzecz, aby pozwolić sobie na lekceważące podejście.

Odgadywacz nie mógł już tego znieść.

— Z przyjemnością udzieliłem panu pomocy — powiedział wstając, — ale mam pewne własne dokumenty, które należy przejrzeć, zanim dotrzemy do Planety D'Graskiego. Ufam, że będę mógł się tym teraz zająć.

Kapitan również szybko się podniósł.

— Och, z pewnością, wielki panie. Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu kłopotu moimi raczej drobnymi problemami. Nie będę panu już więcej przeszkadzał, aż do końca podróży.

Odgadywacz podziękował mu i udał się do swojej kabiny. Przez wiele godzin leżał w łóżku, czując rozdzierający ból głowy. Gdyby nie to, że

został zmuszony do takiego sposobu postępowania, nigdy by nie próbował podawać się za dyrektora. Nigdy!

Nie był nawet pewien, czy zdoła to ciągnąć przez resztę lotu.

Jakoś mu się udało. Trzymał się z dala od wszystkich i udawał, że w niebieskiej torbie podróżnej ma pewne bardzo ważne dokumenty, nad którymi musiał pracować. Bał się jednak posiłków, w trakcie których zmuszony był siedzieć przy stole z kapitanem i dwoma porucznikami, paplającymi w trakcie jedzenia, jak małpy. On również musiał rozmawiać; milczenie mogłoby zniszczyć wrażenie, jakie stworzył.

Nienawidził tego. Usta zostały zbudowane do mówienia i jedzenia, to prawda – ale przecież nie w tym samym czasie. Oczywiście, dyrektorzy doprowadzili to do poziomu sztuki; mieli znacznie więcej czasu na posiłki niż klasa trzecia i potrafili zjeść kilka kęsów, podczas gdy ktoś inny mówił, a potem mówić, w czasie gdy ten drugi jadł. Wymagało to dużego skupienia uwagi i Odgadywacz nigdy nie zdołał do końca opanować koordynacji tych dwóch czynności.

Najwyraźniej jednak żaden z trzech oficerów tego nie zauważył.

Zanim *Trobwell* dotarł do Planety D'Graskiego, Odgadywacz był już fizycznie chory na skutek napięcia psychicznego. Jedne z najgorszych chwil przeżył podczas ataku statków Nieprzystosowanych. Przez cały czas leżał w łóżku, a jego umysł wytężał się przy każdej zmianie przyspieszenia statku. Nie mając ekranów i komputera, które podawałyby mu dane, nie mógł odgadywać, a jednak nieustannie próbował to robić; nie mógł się od tego powstrzymać. Co gorsza, wiedział że jego odgadywanie dawało złe wyniki, za każdym razem.

Kiedy statek w końcu osiadł w doku naprawczym, Odgadywacz z trudem powstrzymywał dygotanie rąk. Schodził ze statku, czując się załamany i stary. Ale kiedy jego stopy dotknęły ziemi, pomyślał: Udało mi się! Mimo wszystko udało mi się!

Wtedy podeszło do niego dwóch ludzi – dwóch mężczyzn w niebieskich mundurach Korpusu Dyscyplinarnego statku. Nie tylko rozpoznał ich twarze, ale również staranny haft na klapach.

Głosił on: *Naipor*.

IV

Kapitan żeglugi kosmicznej Humbolt Reed, dowódca *Naipora*, popatrzył na swojego mistrza Odgadywacza i pokręcił głową.

— Powinienem kazać pana rozstrzelać. Deklasacja jest dla pana zdecydowanie zbyt łagodną karą. Podszywanie się pod dyrektora! I myślał pan, że to się uda? — Przerwał, a potem warknął: — No dalej! Proszę o wyjaśnienia!

— To był jedyny sposób, w jaki mogłem wrócić na *Naipora*, wielki panie — powiedział słabo Odgadywacz.

Kapitan odchylił się powoli do tyłu w swoim fotelu.

— No cóż, jest jedna okoliczność łagodząca. Oficerowie *Trobwella* poinformowali mnie, że był pan dla nich podczas podróży świetnym źródłem rozrywki. Bardzo im się podobało pańskie idiotyczne zachowanie. A teraz proszę mi dokładnie powiedzieć, dlaczego nie pojawił się pan przed odlotem statku na Viornis.

Odgadywacz wyjaśnił, co się stało, cichym pokornym głosem. Opowiedział o tym jak ktoś w niego czymś rzucił, o strzale do niego z broni energetycznej. Opowiedział o dziewczynie, Deyli. Opowiedział wszystko monotonnym bezbarwnym tonem.

Kiedy skończył kapitan kiwnął głową.

— To by się zgadzało. Pasuje do spowiedzi, którą mamy.

— Spowiedź, panie kapitanie? — Odgadywacz popatrzył ponuro.

Kapitan Reed westchnął.

— Podobno jest pan odgadywaczem. Proszę mi powiedzieć, czy uważa pan że ja na przykład, mógłbym pana postrzelić od tyłu?

— Jest pan kapitanem, panie kapitanie.

— Nie chodzi mi o karę dyscyplinarną — warknął kapitan. — Mam na myśli zasadzkę.

— No cóż… nie, panie kapitanie. Jak tylko się zorientuję, że pan tam jest, będę mógł odgadnąć, gdzie pan by strzelił. I nie byłoby mnie tam.

— No to, jaki człowiek byłaby w stanie rzucić w pana czymś, aby pan to odgadł, aby zrobił pan unik i był tak zaabsorbowany tym manewrem, że nie zdołałby pan uniknąć strzału z broni energetycznej, z powodu zwykłej siły bezwładności? Jaki człowiek wiedziałby dokładnie, gdzie pan będzie, po zakończeniu uniku? Jaki człowiek wiedziałby dokładnie, w które miejsce celować z pistoletu?

Odgadywacz zrozumiał, o co chodzi, na długo przed zakończeniem przez kapitana jego długiej tyrady.

— Inny odgadywacz, panie kapitanie — powiedział. Jego oczy zwęziły się.

— Dokładnie — potwierdził kapitan Reed. — Pański uczeń, Kraybo. Zawalił sprawę podczas ataku Nieprzystosowanych w drodze tutaj; nigdy nie powinien zostać mistrzem Odgadywaczem, i chociaż nawet próbował pana zabić, aby dostać tę pracę, nie mógł sobie z nią poradzić. Załamał się kompletnie, gdy tylko spróbował skoordynować wszystko samemu. Właściwie, to za panem tęskniliśmy, mistrzu Odgadywaczu.

— Czy mogę zadbać o dyscyplinę Kraybo, panie kapitanie? — zapytał chłodno Odgadywacz.

— Spóźnił się pan. Został zdeklasyfikowany. — Kapitan opuścił wzrok na leżące na biurku papiery. — Może pan się uznać za przywróconego, mistrzu Odgadywaczu, ponieważ wina nie leżała po pańskiej stronie. Jednak nie można pozwolić, aby udawanie dyrektora pozostało bezkarne, bez względu na to jak godne były pańskie motywy. Codziennie przez pięć następnych dni, będzie pan się zgłaszał do Mistrza Dyscypliny na a trzy-i-trzy. I nie wolno będzie panu opuścić statku w czasie, kiedy będziemy pozostawać w doku naprawczym. Odmaszerować.

— Dziękuję, wielki panie. — Odgadywacz odwrócił się na pięcie i pomaszerował, kierując się w stronę pomieszczeń Mistrza Dyscypliny.

Jak dobrze było znowu być w domu.

KONIEC